

PAWEŁ KŁOCZOWSKI

Wielkość i małość rewolucji

Dlaczego historiografia wigów gloryfikowała wydarzenia z 1688 roku pod nazwą „Wspaniała Rewolucja” lub nawet „Chwalebna Rewolucja”? Mogłoby się wszak wydawać, że nic wielkiego się nie wydarzyło. Przecież króla ścieli sobie Anglicy już 33 lata wcześniej, w 1645 roku, a teraz, w 1688 roku, tylko pozwolili panującemu Jakubowi II uciec do Francji i tylko po to, aby wakujący tron objęła jego córka, Mary, ze swym mężem z Holandii, Wilhelmem Orańskim. Cóż w tym wielkiego? Żadnych sądów, żadnej lustracji, żadnej gilotyny – gdzie tu chwała? A jednak wigowie upierali się, że w tych małych i przyziemnych wydarzeniach kryła się godna chwały wielkość. Mieli mocne racje, zachwalając swą rewolucję, a racje te najlepiej wyłożył Edmund Burke w *Rozważaniach o rewolucji we Francji*. Książka ta mogłaby prawie równie dobrze nosić tytuł *Rozważania o rewolucji w Anglii*, bo jej osią konstrukcyjną jest wyraźny kontrast między rewolucją udaną i nieudaną, czyli właśnie między rewolucją w Anglii w 1688 roku i rewolucją we Francji sto lat później. Udana rewolucja ochładza nastroje i zamyka cykl przemian ustrojowych – nieudana rewolucja podgrzewa nastroje i otwiera cykl gwałtownych transformacji.

Warto skonstrastować filozofię rewolucji Burke’a z filozofią rewolucji Karola Marksa, bo mamy tu niemal dokładne przeciwieństwo. To, co jest wielkością w oczach Burke’a, jest małością w oczach Marksa – i odwrotnie – to, co jest wielkością w ocenie Marksa, jest małością w ocenie

Burke'a. W ocenie Marksa angielska „Chwalebna Rewolucja” w ogóle nie zasługuje na zaszczytne miano rewolucji – była raczej kompromitacją rewolucji, jak się wyraził, „zgniłym kompromisem między arystokracją a burżuazją”. Wysokie i czyste aspiracje ludu zostały zdradzone i utopione w bagnie brudnych układów i niskich interesów. Na podziw zasługuje tylko rewolucja we Francji, szczególnie jej szczytowa faza jakobińska – tę ocenę przejmie cała tradycja komunistyczna. Rewolucja we Francji rozwijała się zgodnie z prawem eskalacji gwałtu, wedle której grupy niezdolnie do gwałtu, miękkie i kompromisowe są kolejno usuwane i likwidowane przez sztywniejsze, twardsze, a nawet wręcz lubujące się w użyciu przemocy. Kontemplacja tego spektaklu wprawia Marksa w liryczny zachwyt: „W pierwszej rewolucji francuskiej po panowaniu konstytucjonalistów następuje panowanie żyrondistów, a po panowaniu żyrondistów – panowanie jakobinów. Każda z tych partii opiera się na partii bardziej postępowej. Skoro tylko któraś z nich doprowadziła rewolucję tak daleko, że nie mogła już za nią nadążyć, a tym bardziej kroczyć na jej czele, wówczas śmielszy sprzymierzeniec tej partii, stojący tuż za nią, usuwa ją i wyprawia na gilotynę. Rewolucją porusza się w ten sposób po linii wstępującej”¹. „Linia wstępująca”! – mój Boże! – wigowie Burke'a przyglądali się ze zgrozą przerażającemu widowisku. Czas takiej rewolucji wzbudzał w nich czarną melancholię – był to czas Saturna, krwawa jatka Kronosa pożerającego własne dzieci.

Główny kłopot nieudanej rewolucji polega na tym, że nigdy się nie może skończyć i zawsze „pożera własne dzieci”. Oczekiwania i namiętności obudzone przez taką rewolucję mają charakter bardziej religijny niż polityczny – są tak wysokie, że żadna rzeczywistość doczesna nie może im sprostać. Entuzjazm rewolucyjny chce przyspieszyć koniec i domaga się, aby nadzieja na Sąd Ostateczny spełniła się już w najbliższą niedzielę, a nie w transcendentnym eschatonie. Jeżeli zwycięstwo nie przynosi pełnej satysfakcji lecz bolesne poczucie zawodu, to złość po rozczarowaniu

¹ K. Marks, *Kapitał*, t. 1, Warszawa 1950, s. 820.

² Idem, *18 Brumaire'a Ludwika Bonaparte*, Warszawa 1949, s. 46.

trzeba skierować nie na „onych”, nie na „wrogów”, lecz na niedawnych towarzyszy i sojuszników, którzy „zdradzili” i weszli w tajne układy z wrogami ludu. Jakobiński rewolucjonista czuje się zdradzony, ale to go nie zraża, wręcz przeciwnie – to tylko pobudza jego waleczny zapał, aby poderwać się do ostatniego boju. W swoim chorobliwym szaleństwie rozumuje w ten sposób: „To my reprezentujemy prawdziwą wolę ludu. To my jesteśmy jego bezkompromisowym głosem sumienia. Interesy wchodzą w układy, sumienia nie. Popelniono szereg błędów. Jaruzelską główkę trzeba nam było ściąć już w 1990 roku. Inteligencja zdradziła lud i zawarła pakt z nomenklaturą. Tylko nasz związek czystych i nieskorumpowanych dokończy rewolucję. Jeżeli mamy zacząć nowe życie w nowym i niepokalanym państwie, to musimy raz na zawsze skończyć z fałszem i zakładaniem – musimy głęboko i gruntownie zlustrować całe to salonowe towarzystwo, a zdrajców zmusić do publicznej spowiedzi”. Takie chorobliwe myślenie ociera się już o gilotynę. Jeżeli symptom „zdradzonej rewolucji” utrwała się, pogłębia i rozszerza, to mamy do czynienia z epidemią i możemy być pewni, że rewolucja nie udała się.

A jak rozpoznajemy udaną rewolucję? Jakie są jej symptomy zdrowia? Według Burke’a, autorom udanej rewolucji chodziło o to, „aby rewolucja stała się źródłem trwałej ugody, a nie pepinierą przyszłych rewolucji”³. Pierwszą zatem oznaką sukcesu rewolucji jest szeroko rozpowszechniona skłonność do ugody i zawierania kompromisu. Wydarzenia z 1688 roku są godne chwały, bo dały następnym pokoleniom dobry wzór do naśladowania, wzorowy przykład sztuki kompromisu. W tradycji wigów kompromis kojarzy się z sukcesem, bo jest „osiągnięciem” – kompromis się „osiąga”, tak jak się „osiąga” szczyt. W tradycji jakobińsko-komunistycznej kompromis jest zawsze „zgniły”, jest moralną porażką, na kompromis nie można „wchodzić”, na kompromis się zawsze „schodzi”. Udana rewolucja to bezkrwawa rewolucja. Gdy tylko poleje się krew, możemy zapomnieć o sukcesie. Krew żyje – wiedzieli o tym dobrze greccy tragicy – krew nie umiera,

³ E. Burke, *Rozważania o rewolucji we Francji*, tłum. D. Lachowska, Kraków 1994, s. 46.

rozlana krew wsiąka w ziemię i rodzą się z niej Erynie, boginie zemsty. Kolejna oznaka – sukces rewolucji to marginalizacja żywiołów radykalnych. W angielskiej „Chwalebnej Rewolucji” elementem radykalnym byli z jednej strony katolicy i anglikańscy rojaliści, wyznawcy boskiego prawa królów do sprawowania rządów, a z drugiej strony purytańscy republikanie i nonkonformistyczni egalitaryści (tzw. lewellerzy). O ile kilkadziesiąt lat wcześniej to te właśnie ugrupowania zajmowały środek sceny politycznej i starły się w wojnie domowej, o tyle teraz, w 1688 roku, eschatologiczna energia tych grup wyczerpała się, a do głosu doszły trzeźwe ugrupowania centrowe. Rewolucje udają się o tle, o ile pułap oczekiwań nie jest zbyt wysoki. Jeżeli jest on zbyt niski, to rewolucja w ogóle nie wybucha, jeżeli jest zbyt wysoki, to nigdy się nie kończy. Warunkiem sukcesu rewolucji jest właśnie ostudzenie zapałów i szerokie uznanie faktu, że zmiany realne to zawsze zmiany częściowe, powolne i niepełne. Stwierdzenie to ma charakter zarówno opisowy (tak jest naprawdę, tak zachowują się zdrowe ciała polityczne), jak i normatywny (tak być powinno, tak się zachowuje odpowiedzialny i skuteczny mąż stanu, który ma na względzie dobro ogólne, a nie dobro małej i zdesperowanej części). W materii politycznej, tak jak w medycynie, nie da się oddzielić faktu od normy zdrowia, bytu – od powinności.

Jak będziemy za 20 lat w Polsce opisywać i oceniać wypadki z lat 1988/1989-1990? Czy selekcionując fakty wybierzemy jakobiński, czy wigowski model opisu? Czy Okrągły Stół będzie zgnilym kompromisem inteligencji z nomenklaturą, czy też naszą „Chwalebną Rewolucją”? Czy będziemy mówili o porażce czy o sukcesie; o rewolucji udanej czy nieudanej? Dzisiaj może się czasami wydawać, że sprawy się jeszcze toczą, że pozostają nierozstrzygnięte, że sąd się jeszcze waha. Ale tak naprawdę to czasy heroiczne już dawno się skończyły. Lista bohaterów jest zamknięta i wiadomo, kto jest na tej liście. Podręczniki są już napisane. W Patagonii i na Alasce, w Japonii i w Nowej Zelandii dzieci otwierają książkę do historii i patrzą na zdjęcie sympatycznego elektryka z wąsami. Nie zastanawiają się, kto na tym podium stoi obok niego, kto jest w drugim, a kto w trzecim rzędzie. I tylko w Polsce trwa jeszcze przepychanka, bo a nuż, bo kto wie, może uda się jeszcze kogoś zepchnąć, a kogoś wepchnąć...

PAWEŁ KŁOCZOWSKI (ur. 1952), historyk idei, wykładowca filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Autor publikacji *Bitwa książek. Konfrontacja Arystotelesa z nowożytną filozofią polityczną* (2007).